

Kiedy Stanisław Ignacy Witkiewicz, znany jako malarz pod mianem „Witkacego”, w parę lat po I wojnie światowej zaczął pisać sztuki sceniczne i głosić swoje poglądy teoretyczne na temat teatru — traktowano go bądź to jako kawalera i mistyfikatora, który kpi sobie w żywe oczy z publiczności, bądź też wręcz jako obłąkanego. Nikt wówczas nie traktował serio tych dziwacznych twórców, których już same tytuły — takie np. jak „Tumor Mózgowicz”, „Mątwa czyli hyrkaniczny światopogląd” itd. — wydawały się jakąś aberacją. Utwory, w których postacie o niesłychanie wymyślnych i groteskowych imionach (np. „Klawecyn Gorgozan Bykoblazjon”) zachowywały się w sposób absolutnie nie licujący z prawdopodobieństwem życiowym; gdzie akcja bezustannie kapryśnie się zmieniała, sytuacje najbardziej groteskowe przekształcały się co chwila w sceny pełne tragicznego patosu, gdzie ktoś kogoś ciągle bez wyraźnego powodu uśmiercał, a trupy wstawały po chwili z martwych i jakby nigdy nie włączały się z powrotem między żyjących; jednym słowem, z punktu widzenia logiki i tzw. prawdy życiowej wszystko to wydawało się czystym nonsensem. Nie tylko szeroki ogół, ale i krytycy, i nawet ludzie teatru — poza niewielką garstką wrażliwszych i obdarzonych przenikliwością — nie umieli dopatrzeć się żadnego istotnego sensu, żadnej tłumaczącej się logicznie treści w tych formach, tak odbiegających od stosowanej wówczas powszechnie konwencji. Widzowie na przedstawieniach śmiali się głośno, tupali i gwizdali; niewiele zresztą mieli po temu sposobności, gdyż teatry na ogół nie chciały grać sztuk tego zwiariowanego malarza; przez cały okres międzywojennego dwudziestolecia zaledwie parę z nich uka-

zało się na scenie, i zniknęło w błyskawicznym tempie z afisza.

Dzisiaj sztuki Witkiewicza — który odebrał sobie życie w momencie wkroczenia Niemców do Polski — wchodzi na stałe do repertuaru Teatru Narodowego, zaliczone są do naszej klasyki dramatycznej. Coraz to inna spośród nich ukazuje się na którejs z scen stołecznych i pozawarszawskich, i niemal za każdym razem staje się głośnym sukcesem — nie tylko artystycznym, ale i kasowym. Twórczości Witkiewicza poświęcane są całe wielkie rozprawy krytyczne, sztuki jego tłumaczone są na obce języki. Awangarda europejska ze zdumieniem odkrywa w nim swego prekursora...

Dzieje się tak z wielu względów. Najpierw dlatego, że odmienił się dziś w ogóle nasz stosunek do formy teatralnej. Owo odbiegnięcie od potocznego realizmu i dosłowności życiowej, ciągłe przeplatanie się groteski z dramatem, prawdy z fantastyką, nikt dziś nie szokuje, uzyskało dziś pełne prawo na scenie — oczywiście w sztukach specjalnego gatunku, i pod warunkiem, że czemuś służy, że wyraża pewne treści ukryte, których nie da się wypowiedzieć wprost. Umieemy odczytywać je dziś jako pewną metaforę, jako poetycką aluzję. Po drugie, co jeszcze ważniejsze, w obliczu tego wszystkiego, co oglądaliśmy w czasie wojny, po straszliwych doświadczeniach, jakie oglądało nasze pokolenie — w pozornych „dziwactwach” Witkacego odkrywamy ze zdumieniem wierne przeczucie kataklizmów, które nadeszły; okazuje się, że owe niesamowite wizje, wyobrażone w jego utworach, w zadziwiający sposób sprawdziły się w życiu.

Znakomitym przykładem takiego dalekosiędnego spojrzenia artysty jest gra-

na obecnie w Teatrze Narodowym owa dziwacznie brzmiąca „Mątwa czyli hyrkaniczny światopogląd”. Przedstawicielem owego „hyrkanizmu” jest niejako „Hyrkan IV” — „król Hyrkanii”. To, co głosi, to po prostu wiernie przeczyty program faszyzmu, a nawet ściślej jeszcze — hitleryzmu. Nic nam nie przeszkadza, że mamy tu jakieś osobliwe pomieszanie różnych rzeczywistości, że ów fantastyczny — niestety, tylko z pozoru fantastyczny — Hyrkan rozmawia sobie z realnym intelektualistą współczesnym, Pawłem Bezdeką, i że obydwaj mają za partnera Juliusza II, papieża z XVI wieku, przyjmujemy to jako poetycką przenośnię, i słuchamy zafascynowani ich znakomicie napisanego dialogu, który trzydzieści z górą lat temu musiał wydawać się absurdalny, a dziś brzmi dla nas aż nadto prawdziwie...

„Mątwa” grana jest łącznie ze sztuką „Jan Maciej Karol Wścieklica”. Jest to jedna z najbardziej „normalnych” sztuk Witkiewicza, utrzymana w stylu najbardziej zbliżonym do realizmu. Jest to znakomita, pełna świetnego dowcipu satyra, odmalowująca dzieje pewnej „kariery” politycznej. O tyle, o ile do realizacji „Mątwy” można zgłosić dość poważne zastrzeżenia — nie wydaje się bowiem, aby reżyser i aktorzy utrafili w swoisty styl tego utworu — o tyle wykonanie „Wścieklicy” budzić musi żywy aplauz. Świetną kreację stwarza tu przede wszystkim Jan Kobuszewski w brawurowo zagranej roli tytułowej; doskonale są również postacie kobiece, w wykonaniu Wandy Łuczyckiej i Barbary Krafftówny. Cały wieczór niezwykle interesujący. Obydwie sztuki reżyserowała Wanda Laskowska, świetną scenografię opracowała Zofia Pietrusińska.

(L.)



Barbara Krafftówna i Jan Kobuszewski w sztuce „Jan Maciej Karol Wścieklica”  
Fot. Franciszek Myszkowski